



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

CHRYSZTUS.

Dał miłość ludziom—i poszedł na męki
I patrzył świat,
Jak pod ciężarem swego krzyża padł—
I słyszał jęki
Niewiast, płacz dzieci—i widział niesiony
Krzyż ten i ciernie okropnej korony,
I pożądlivę krwi ludu zastępy...
I słyszał łoskot młota głuchy, tępy:
To w dłonie miękkie gwoździe wbijał kat.
Wbijał powoli, ażeby śmierć chyża
Zwolniła chód—
I szeptał: „Jeśli Syn Boży—spraw cud
„I z tego krzyża
„Zstąp przez aniołów uwolniony rotyle,
Lecz się wypełnić musiał czas Golgoty,
I musiał ponieść śmierć z rąk niecných kata
Ten, co zbawieniem był, pragnieniem świata—
I w Chrystusową śmierć uwierzył lud.
I gdy się podniósł na szczycie Kalwaryi.
Straszliwy drąg
Krzyża, a na nim krwawych dwoje rąk:
Zabrzmiął krzyk Maryi...

Ale go zgłuszył gronu, co wzdłuż błękitów
Przebiegł i w łono uderzył granitów—
Lecz go wchłonęła ciemność, która padła
Na ziemię... I twarz oprawców poblądła
I oniemieli sędzie—lud się zląkł.

Gdy konał—ziemia w przerażeniu drżała
Do głębi trzew—
Bo straszną była ta śmierć i ta krew
I białosc ciała
Na czarnym płaszczu chmur—i te ramiona
Krzyża... I biegła tłuszczka przerażona,
I koło Maryi przebiegając domu,
Stawała nagle. Wśród tych klęsk ogromu
I trwóg—w Jej domu brzmiał weselny śpiew
Wszak umarł?... Umarł tylko w waszej duszy—
I biada wam!
Choć postawiona straż czuwa u bram—
Grób się poruszy,
By dać świadectwo żywym o tej sile,
Która szkielety potraça w mogile,
I mimo grobu pieczęcie i strażę
Umarłe budzi i życiem drgnąć każe;
Bo nie zna śmierci duch—i wstaje sam!

Kazimierz Gliński.

POGA WĘDKA.

Narzekałem nieraz—i, doprawdy, że nie bez słuszności, iż czasem, z powodu ciszy i pustki na naszym bruku warszawskim, mimo nieustającego gwaru i mijających się wciąż tłumów—brak przedmiotu do pogawędki z wami, szanowni czytelnicy, co stanowi nie małe utrapienie dla kronikarza, którego obowiązkiem jest dzielić się z wami ze wszystkimi tem, co u nas dzieje się lub działo. To działo jednak nie może sięgać zbyt odległej przeszłości, ale na palcach powinny być policzone dni, oddzielające dany wypadek od chwili, w której, według starego obyczaju, zasiądę do pogawędki z wami.

A jak teraz?
Nie lepiej, a może nawet gorzej, bo mimo woli stałem się przyczyną przykrości ludzi, których ani obrazić nie miałem powodu, ani najmniejszym słówkiem dotknąć.

W Nr. 9 Bluszczu r. b., po artykule uprzednim, (o zapomnianym już może przez was, szanowni czytelnicy, Adamku Hycu) — w którym wyraziłem radość z powodu odnalezienia niezwykłego talentu i zajęcia się nim, jak się to zdało i zowad słyszało, ludzi dobrej woli i natchnień zacnych—po artykule tym, w numerze następnym, z nieklamany smutkiem umieściłem ustęp, który owego Adamka wcale w odrębnym świetle przedstawił.

Powiedziane tam zostały te słowa:
„Z Hycem smutna się stała historia, bo przejrzały przez nas, w gronie literatów zeszyt jego arcydzieł, okazał się zbiorem mało znanych, lub zapomnianych w części utworów Jaskowskiego, Prusinowskiego i piosenek dawnych, śpiewanych przez matki nasze przy akompaniamencie fortepianu. Oszukać się można, ale oszukańca wytropić by na-

leżało, bo może w całej sprawie brzydszy, niż się na pozór wydaje, ukrywa się figiel. Pachłoby to już nie konceptem głupim, lecz jakimś większej miary oszukaństwem, jeżeli prawdą jest, jak o tem niby z prawdziwego słyszełszy źródła (*niby* lub *jakoby* będą teraz częściej powtarzał) że dia kształcenia talentu Hycy do 1.600 rs. zebrano. Zrobiłoby się jakieś fe! na które pobłażliwym okiem patrzyć nie można“.

W ustępie powyższym, w którym niema żadnego twierdzenia, lecz tylko szczerą chęć wyświetlenia jakiejś mistyfikacji, nie chcieliśmy nikogo dotknąć ani obrazić.

Tym razem stało się przeciwnie.

Poczuły się obrażone osoby, które dziecko włościańskie wzięły do siebie i, widząc w niem talent, całą przyszłością jego zająć się chciały.

Nie marzyliśmy o takim obrocie sprawy, tem bardziej, że tem dotknięty został człowiek, szanowany przez ogół cały, a i osobicie mi znany. Czyżby więc zadość jego żądaniu wyświetlenia prawdy, robię to tem chętniej, że poznawszy kim jest, czy był opiekunem Adamka, nie może już być mowy o żadnym brzydkim figlu ani o podejściu opinii. Słowa niniejsze wypowiedziane z całą otwartością—i przykrość, jakiej doznałem, będąc posądzony o złą wolę lub lekkomyślność, niech służą świadectwem, że nie miałem zamiaru komukolwiek ubliżyć, lub w czemkolwiek bądź szkodzić.

Ot, i najniespodzianie zacząłem pogadankę z wami od przedmiotu przebrzmiałego już dawno, który jednak ożył i najniespodziewaniej przez chwilę parę przykrość mi sprawił. Ale wypowiedziawszy wszystko, co wypowiedzieć się dało, wracam do zwykłego toku gawędy.

Z nowin literackich najciekawszą może będzie wiadomość, że opuścił prasę zeszyt III-ci i ostatni dzieła, które w czwartym a poprawionem i powiększonym wydaniu, nie powinno zbyt długo zalegać pułk księgarskich. Dziełem tem jest doskonały zarys literacki Piotra Chmielowskiego p. t.: *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego*.

Nie będziemy tu mówili o wewnętrznej wartości książki, nazwisko autora już samo za nią przemawia, puste zaś dźwięki pochwał, wypowiedziane o pracy, o której krytyka dawno już swój sąd wydała—nie byłyby wcale na miejscu. Kto zna to dzieło z dawniejszych wydań, wie, co o niem sądzić, kto nie zna — niech je przeczyta, a nie powie, że czas zmarnował. Możemy więc chyba powiedzieć słów parę o stronie zewnętrznej książki t. j. o druku, papierze i zdobiących ją rycinach. Panowie wydawcy starali się, by wydawnicza część poważnej, bo o 275 stronicach *in quarto* księgi, godnie odpowiadała jej zawartości. Nie ich to wina, że ciało piękniejsze od szaty, a duch od ciała. Na to już nie poradzi żadna sztuka drukarska, bo papier dano piękny, czcionki wyraźne, a i część ilustracyjna dzieła wcale pokaźnie się przedstawia.

Na pierwszym planie widzimy doskonały portret Mickiewicza przez L. Horowitza rysowany. Lwia grzywa Mickiewicza i jego znamienne ściśnienie ust i oczy te, przez które potężny duch na świat boży patrzył i od zachodu na wschód skrzydła swe rozszerzał, lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzał i po promieniach uczucia do Boga dochodził; te oczy są oddane wybornie, a pełne głębokiego smutku i myśli. Dalej idzie smukła Maryli postać w uczesaniu ówczesnym i stroju ówczesnym rysunku J. Pankiewicza. Duże oczy kochanki adamowej mają jakiś wyraz sentymentalny, i — jeżeli piękna nie była — te oczy mogły niejednego przykuć do siebie czarem swych spojrzeń. Poszczególne rozdziały, traktujące o kobietach w poezji Mickiewicza, są ozdobione rycinami, wyrażającemi mniej więcej udatnie niektóre bohaterki poematów. Widzimy więc Grażynę w hełmie (W. Kipmana) i Zosię karmiącą gołębie, reprodukcję ze znanego obrazu Tytusa Maleszewskiego.

O Zosi, właściwiej o Zosiach, można to powiedzieć, że żadna nie dorównała obrazowi, nakreślone mu niezrównanem piórem twórcy pana Tadeusza. Zdawałoby się, że pędzel powiniemy uchwycić wszystkie odcienia tej trzępłiwej postaci, wdzięk cały młodziutki dziewczyny, karmiącej o wezsnym poranku ptactwo domowe. Sam obraz pod farby się prosi. A jednak tu mistrzowskie pióro

Mickiewicza nie znalazło w pędzlu godnego siebie naśladowcy. Doskonały np. pod względem rysunku obraz s. p. Leonarda Straszynskiego grzeszy niebem włoskiem i całym otoczeniem, nie wiele wspólnego mającym z zaciszem litewskiego dworku. To w tem, to w owem, lecz brak się znajdzie, a Zosia wciąż czeka artysty, czeka drugiego uniesmiertelnienia się w barwach na płótnie.

Po Mickiewiczu idzie Słowacki. Twarz Juljusza jest przedstawiona profilem w płaskorzeźbie. Jest to najpodobniejszy portret autora Balladyny, robiony za jego życia. Na odłamie głazu widnieją piękne rysy tego, który walkę poezji ku odrodzeniu się ducha i uczucia ludzkości po chrześcijańsku zakończył. Pod głazem tym w półurwanych arkadach są przedstawione niektóre postacie z jego dramatów: książd Marek, Sawa i t. p. Postacie kobiece w tekście samym nie wypadły zbyt pomyślnie. *Balladyna* H. Piątkowskiego może być pierwszą lepszą dziewczyną, która wyszła na spotkanie Bartka lub Maczka. Nie rozumiemy też, co trzyma w ręku: to coś z postaci swojej podobne jest do bawolego rogu, na którym grał Wojski i echo puszczy wzywał do wtóru. Ale co on oznacza w ręku Balladyny? Zapewne to jakieś bys musi narzędzie, lecz w każdym razie nie dzbanek malin, nie owa główna przyczyna olbrzymiej tragedii. Druga rycina przedstawia Lillę Wenedę (błędnie podpisano: Roza Weneda) uśmierającą gady dźwiękiem derwidowej arfy. Rysunek ten odwórka M. E. Andriollego, znany jest dobrze wszystkim z ilustrowanego wydania *Lilli Wenedy*. Bodaj czy nie najlepszą jest *Amelja* P. J. Boguskiej. Przedstawia chwilę przysięgi posądzonej niewinnie, gdy szelest za kotarą chwyciło podejrzliwe ucho wojewody. Rysunek całej postaci jest bardzo wdzięczny, twarz piękna i dopatrzyć w niej można wiele znamion boleści i trwogi, przy pełnym spokoju duszy.

Najlepiej jest zrobiony Krasiński, przynajmniej najczystsza nam się w odbiciu przedstawia jego podobizna. Siedzi na dłoni wsparty, zanurzony głęboko w fotelu czy otomanie. Brwi lekko zmarszczone mówią o myśli błądzącej gdzieś na ruinach Colloseum, z wyniosłego czoła rozum i duma patrzą. Tę trzecią i ostatnią część dzieła zdołał tylko jeden rysunek D. Wyczółkowskiego, przedstawiający *Marynę Mniszczównę* z dzieckiem, uciekającą przed pogonią. Całość przedstawia się bardzo pięknie i jeżeli treść dzieła niejednym umysłem ozdobić potrafi, książka sama, pod względem wydawniczym, ozdoba niejednego salonu być może.

Mówiąc o książkach, nie możemy również milczeniem pominąć „Obrazu Literatury Powszechnej“, której zeszyt piąty mamy przed sobą. Zeszyt ten, o którym mowa, zawiera: I) Poezyę chrześcijańską w języku łacińskim, II) Poezyę prowansalską, III) Poezyę francuzką; IV) Poezyę włoską. Widzimy tu zebrane tłumaczenia, dokonane przez najcelniejsze pióra dawnych i terażniejszych pisarzy. Wydanie odznacza się największą starannością i zupełną brak, na który dotąd szwankowało piśmiennictwo nasze. Przeciętny czytelnik nie może odczytać wszystkich arcydzieł literatury powszechnej; przeszkoda mu do tego stanie czas a nieraz i gruntowna znajomość języków obcych. Tu znajdzie rzecz każdą opowiedzianą treściwie, ważniejsze zaś wyjątki z poematów dłuższych w dosłownem a doskonałem tłumaczeniu.

Zdaje się, że na czas dłuższy przyjdzie się nam pożegnać ze wspomnianiem o wydawnictwach nowych. Książki z pod prass drukarskich niezbyt chętnie ukazują się ku wiosnie, bo ludzie stęsknieni za słońcem i powietrzem, przy łada cieplejszym dniu radzi opuszczają często wilgotne nawet ściany swoich mieszkań i w zbite szeregi ciągną za rogatki miejskie, gdzie może przelotne jakieś ptaszę wesodą piosnkę zaćwierka nad ich głowami, błada trawka z rozmokej ziemi wyjrzy a i wczesny kwiat jakiś uwagę ich zwróci. Jakkolwiek nie zbyt ochocho przybywa do nas wiosenka, choć już do połowy dobiegliśmy kwietnia: rzuci złocistszy blask słońca, cieplejszym tchem wionie, podrażni się niegodziwa i nie wiem za jakie góry, za lasy jakie ucieka, bo nawet i wieści z krań południowych nie mówią zbyt pochlebnie o niej. Ale przyjdzie, przyjdzie—nie dziś, to jutro—nie jutro, to pojutrze. Tymczasem lody pękły i spłynęły, a rzeki tu i tam wylały, przysparzając nie mało klęsk bieda-

kom. Jakkolwiek nie dotąd jeszcze nie zapowiada wielkich powodzi — nie minął strach zupełnie, bo miarowy ruch podnoszenia się i spadku warstw wodnych trwa ciągle, a cóż będzie gdy w górach śniegi topnieć zaczną, gdy opóźniona wiosna zacznie się na gwałt z zimowych szat swoich rozbierać, prac zbrukaną sukienkę deszczem rzęsiwym i kąpać się w nurtach potoków górskich? To też władze przedsięwzięły środki możliwego ratunku, a my, oczekujący rozkoszy wiosennych, pomyślny i o klęskach, które spaść mogą.

Nie prędko jednak Warszawka ubierać się, stroić—to jest: budować się i reperować zacznie. Według już zatwierdzonych przez magistrat planów, nie mało jej nowych domów przybędzie. Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się, że rok przeszły dał jej coś do stu dwudziestu kamienic, które się wypakowały natychmiast od suteryn pod strych, a mimo to brak zawsze wolnych lokalów, a jeżeli się jaki znajdzie—odstrasza ceną.

Co to jest?

Właściciele narzekają na domy, a jednak, o ile wiemy, nie złym wcale jest interesem, mieć sobie na własność trzypiętrową chatkę taką i zwaliwszy wszelkie kłopoty na rzadęc domu, cieszyć się powolnym, regularnie wpływającym odsetkiem.

Ciekawą dość wiadomości w tym względzie podało jedno z pism warszawskich.

Powtórzyć ją, czy nie powtórzyć?

A nuż się rozniewają obywatele miasta i ich „prawę ręk“, że za panią matką pacierz powtarzamy?

Wybaczą mi łaskawi panowie, ale osobiście sprawdzać takich interesów nie mam ani czasu, ani możliwości. Zamilczeć zaś nie sposób, bo to należy do ogólnego dobra, które, jeżeli jest na szwank narazone, bronione być powinno. A bądź co bądź ciekawy fakt został przytoczony przez *Kuryer Codzienny*:

Jest nim wprowadzony od pewnego czasu zwyczaj pobierania od lokatorów tytułem kontraktowego kwot pewnych, które w stosunku procentowym do sumy komornego idą na korzyść rządcy. Zwyczaj ten od dość już dawna praktykował się w dzielnicy nalewkowskiej, a od paru lat wszedł już do śródmieścia i zapukał do niektórych domów na Marszałkowskiej, Nowym Świecie, a nawet na Brackiej. W tym procederze zyskuje tylko właściciel kamienicy, lokator traci materialnie, rządca zaś domu ponosi moralny szwank, bo nie biorąc żadnego wynagrodzenia od pryncypała za podjęte trudy około jego dobra, musi nie raz z sumieniem się własnem pokłócić i często na stopie wojującej z lokatorami stanąć. Bo oto np. kontrakt zawarto na rok jeden, *volens-nolens* kontraktowe rządcy zapłacono, ale że mieszkanie dogodnie, zajmujący je dotychczas lokator pragnie i na rok drugi przy sobie zatrzymać.

A no—dobrze!... tylko z tą kwotką trzeba jakoś poradzić.

Ze zapłacone raz już zostało—to nic nie znaczy; nowy lokator uiścić się zeń musi, bo inaczej mieszkanie najętem przezeń nie zostanie; dawny, jeżeli sprzeciwi się zwyczajowi, musi zajmowane miejsce opuścić. W ten sposób powstają niesnaski, a ziarno zepsucia coraz się bardziej rozrasta. Oczywiście, że główna wina spada na panów właścicieli domów, którzy wszelkie kłopoty rzuciwszy na barki nieraz bardzo biednych ludzi, chwytających się wszystkiego, byleby żyć samym i nie raz rodziny wykarmić, każą im nie tylko wysilać mózg na zdobycie tego nieszczęsnego chleba, lecz wskazują drogę pochyłą, na którą niechętnie może weszli, lecz raz wstąpiwszy, iść muszą, walcząc nieraz ze wstydem palącym.

Jeżeli tak jest w istocie, jak o tem kompetentny dziennik donosi, czy dla obrony lokatorów od wyzysku zawiadowców domami, a tych od wyzysków właścicieli kamienic — nie powinna być oznaczona pewna norma stałego wynagrodzenia rządców, od której nie można byłoby się uchylić? Jeżeli rzeczywistość to zło jest i wzrasta, a pisma je podają do wiadomości ogółu, patronowie miasta powinni na to zło zwrócić uwagę i szerszeniu się zgłiznył wczesnie zapobiedz.

Przyzwyczajaliśmy się, a właściwie nas przyzwyczajono do bardzo złego mniemania o sobie. Szlachta zgnęła a lud głupi — to piosnka od dawna

śpiewana, piosnka, która bardzo wiele złego społeczeństwu zrobiła, bo zachwiała w nim wiarę we własną siłę i kazała oglądać się za jakimś słupem, któryby wzięło jego ciało podtrzymać. Takich pieśniarzy przepędziliśmy przez Eumenid różgi, bo jeżeli do doskonałości pretensyi żadnej nie mamy, w niczem a w niczem niż nie stoimy, ni pod względem cielesnym ni duchowym od naszej braci, zamieszkującej szerokie krainy Zachodu. O ile nie dobrem jest samoubóstwienie, o tyle złe jest silne przekonanie o niepoprawnym swem negusowstwie. Przeciwnie, za wielką nawet wiarą w siebie stokróż jest lepszą od pozbawiającego sił zwątpienia. Tym czasem do rozpaczki powodów weale nie mamy. Nie jesteśmy ani mędrsi ani głępsi, ani lepsi, ani gorsi od innych. Nawet to i to na naszą pochwałę powiedzieć by się dało. Jeżeli piękniejsze wydają nam się kwiaty za górami rosnące, to dla tego tylko, że zbyt oswoiliśmy się z własnymi storezykami i liljami. Ze łopiany rosną i u nas, to nie jest właściwością gleby, lecz złego ziarna, które nieproszone w bruzdę jakąś zapadło... Takie chwaśki zdarzają się czasem—niestety!

Cobyśmy powiedzieli o naszym chłopie, gdyby u nas stał się podobny wypadek, jaki wydarzył się niedawno w Irlandyi, w miejscowości znajdującej się niedaleko ożywionej linii drogi żelaznej, w Cloumel, w rodzinie należącej do klasy drobnych dzierżawców.

Michał Cleary, Pat Boland, Marya Kennedy i czterej synowie tej ostatniej oskarżeni zostali o zabójstwo popełnione na osobie pani Cleary. Ofiara była chora, wezwani znachorzy oświadczyli, że nieczysta siła zawładnęła jej ciałem. Zaczęto więc leczyć ziołami i urokami, gdy to nie pomagało użyto energicznych środków. Za poradą znachorów mąż przygotował lek jakiś, którego, gdy wypicia odmówiła chora, zawiesili ją nad ogniem i wyklinali dyabła. Gdy nazajutrz biedna niewiasta nie chciała zjeść chleba umoczonego w napoju, mąż posmarował ją naftą i za pomocą płomienia pragnął szatana wypędzić. W strasznych mękach skonała ofiara, ale mąż się cieszył, że wróci mu żona czysta, gdyż czarownica spalona została.

Dużo przesądów i wśród naszego jest ludu, fakt jednak takiego barbarzyństwa dokonanego bez woli morderstwa, zdaje się, że nie pojawiłby się u nas. Historia zresztą wskazuje, żeśmy wyprzedzili Zachód, kasując prawo (nie zastosowywane prawie u nas), skazujące opętane przez dyabła na próbę ognia. Nie imponują nam Niemcy ze swoją „siłą przed prawem“ nie imponuje nam Francya, mająca nieco czoło wytarte. Kieruję te słowa do tych, którzy popielate okulary na oczy sobie nałożyli.

W tych dniach zwiedzałem szpital dziecienny, znajdujący się przy ulicy Aleksandrya. Zainteresował mnie głównie oddział dziatwy chorej na dyfteryt i dławiec, (krup) i rezultaty zastosowanej surowicy.

Zdaje się, że nieprzejednany wróg dotąd świata „milusińskich“ pokonany został. Surowica okazała się wprost środkiem cudownym. W szpitaliku dzieciennym na trzydzieścioro dziatwy chorej na dyfteryt, nie umarło żadne, byli nawet pacyenci, o których lekarze stanowczo wątpili, gdyż przywiezione zapóźno do zakładu, lekkie zaledwie oznaki życia dawały. Puls słaby, ciało zimne, temu prawie że brakło. By oddychać mogły, robiono sztuczny otwór w gardle. Na trzeci dzień jednak po zastosowaniu błogosławionego środka, wracało utracone ciepło, oddech stawał się coraz swobodniejszy, zgangrenowane części zaczęły odpadać i po tygodniu dzieci wracały do sił. W strasznym zaś dławcu, z którego ocalonych *dziesięć procentów* wychodziło, zmienił się stosunek. Od czasu zastosowania surowicy, *dziesięć procentów* tylko nieubłagana śmierć zabiera. Jest nadzieja, że śmiertelność i ta do minimum zejdzie, jeżeli dzieci przy pierwszym objawie choroby, będą *natychmiast* pod nadzór lekarski oddawane. Idzie bowiem o to, ażeby organizm nie był zbyt wyczerpany i mógł czekać do chwili, w której zastosowany środek działać zacznie.

Zwiedzając ten szpitalik dziecięcy, zachwycony zostałem wzorową czystością i matczyną iście opieką Sióstr Miłosierdzia. Pokoiki pełne światła, posćciel na łóżeczkach lśni od białości, bielizna dziatwy czysciuchna. Cierpiących maleństw ból koi do-

broczynna Sióstr ręka, która na ich głowach spoczywa i słowa pełne pociechy. Dzieci przychodzące do zdrowia, uśmiechają się do opiekunek i szczenioczą wesoło, zarzucając ich tysiącem pytań, a i dr. Alfons Malinowski—(nie gniewaj się szanowny doktorze, że twoje nazwisko tu wspominam)—ojcowskiem obejmie się z dziatwą, musiał zaskarbić jej serce, bo do jakiego tylko łóżeczka się zbliżył, wstępowała otucha w piersi chorych, uśmiechały się blade usteczka, wyciągały rączyny, a pytanom końca nie było.—Ten szpital, który był dawniej synonimem nędzy, dziś jest błogosławionym przytułkiem chorych. Dla czego wielu ludzi stroni dotąd jeszcze od niego i przekłada leczenie się w domu, gdzie żadna opieka nie może wyrównać opiece Sióstr Miłosierdzia z całym zaparciem się siebie cierpiącej oddające się ludzkości, a pomoc lekarska jest na zawołanie o każdej godzinie dnia i nocy. Ani takiego porządku przy chorych, ani takiego dozoru najczulsza matka nie jest w stanie zachować, bo ona jest jedną, a tam jest matek kilka, bo tu czuwa dwoje tylko oczu, które sen musi zmóżyć, a tam bezsennych kilka powiek wciąż patrzy. — Jeśli my, mężczyźni zdobyli świat siłą, rola jest kobiety pokonać go miłością. Na tem polu równouprawienia być nie może, tu nie zastąpimy się wzajemnie, bo wyższe jest prawo Boże, nad chęci nasze przekroczenia nieprzekraczalnych granic. Przy nas—siła; przy was, kobiety, zawsze miłość zostanie. Te dwie potęgi idące obok siebie, nie zaprzeczające się wzajemnie—jedynie mogą stworzyć cuda.

Ale oto zbliża się dzień cudów cudu, dzień odkupienia świata, przez śmierć Zbawiciela, zwycięstwa ducha nad śmiercią, nieśmiertelności nad straszłą nicością *ja* człowieka. Za godzin kilka zabrzmii: Alleluja! na całym okręgu chrześcijańskiego świata, pieśń prawdziwej i jedynej pociechy dla skołataney duszy ludzkiej burzami życia.

Nieśmiertelność!...to pieśń nad pieśniami.

Od lat dwóch tysięcy jej wspaniałe tony nad globem świata, od lat dwóch tysięcy, zaprzeczana, wciąż żyje, odrzucana sama powraca. Gdyby świat nie miał o niej pojęcia, a znalazł się jeden jedyny człowiek, któryby powiedział: nieśmiertelność!—uwierzyłbym mu, bo nie masz przedmiotu bez nazwiska, nie masz tak bujnej fantazyi, która stworzyła pojęcie *o tem, czego niema*.

Życzę Wam szczęśliwych świat, natchnień dobrych, spełnienia się myśli waszych — dusze nieśmiertelne!

BLUSZCZ

O B R A Z E K Z Ż Y C I A R O D Z I N Y

przez

Maryana Gawalewicz.

(Dalszy ciąg).

Ale mu w tej chwili inny pomysł przyszedł do głowy; zobaczył duży bukiet fijołków w koronkowej kryzje, związany seledynową wstążką i przygotowany widocznie na obstalunek.

— Czy to zamówiony dla kogo?... — spytał, biorąc żywo kwiaty do ręki.

— Tak—odpowiedział ogrodnik.

— A nie mógłbyś mi go pan odstąpić?

— Możemy drugi taki sam zrobić; na którą godzinę?...

— Chciałbym zaraz, zaraz teraz — naglił, jakby mu Bóg wie, ile na tym pospiechu zależało; — drugi każesz pan zrobić dla swojego klienta o parę godzin później i będzie dobrze.

— Jeżeli pan dobrodziej koniecznie sobie życzy...

— Koniecznie.

Zapytał potem, jakby od niechcenia o nazwisko tego pana, co przed nim kupował palmę i zasięgnął o nim kilka szczegółów.

Dowiedział się, że to pan mecenas, bardzo porządny człowiek i zamożny, wielki amator kwiatów i hoduje ich u siebie we wszystkich pokojach mnóstwo, jak w jakiej oranżeryi

— Mecenas... hm!... bogaty!... hm... ładnie mieszka, hm, hm! — mrucał, uśmiechając się jakoś zgrzyliwie i naiwnie przy tych objaśnieniach Grosiecki.

Spytał jeszcze o jego adres i znowu zrobił „hm, hm...“, dowiedziawszy się, że mieszka także w Alejach Jeruzolimskich.

Wyjął wreszcie pugilares, zapłacił również bez targu, jak Krotowicz i zabierał się do wyjścia.

— A gdzie pan dobrodziej może odesłać?—zagađnął go ogrodnik przy samych drzwiach.

Zawahał się chwilę, potem bez bliższych objaśnień odrzekł:

— Razem z tą palmą.

— Będzie odesłane natychmiast; służka, sługa pana dobrodzieja!... polecamy się z koszykami, wiankami, poduszkami... — recytował uprzejmy dystrybutor Flory, kiwając się jak pagoda za kantorem i zabierając do ozdabiania doniczki palmowej kolorową bibułką, zmarszczoną w fantazyjne kokardy i pióropusze, według najświeższej mody.

Walery wybiegł na ulicę.

Ten pomysł posłania anonim bukietu żonie przy mniemanym podarunku jakiegoś... może już rywala, a w każdym razie konkurenta, wydawał mu się samemu doskonałym, dowcipnym, intrygującym; lubił takie kawały, znajdował je interesującymi, nie zastanawiając się, że samem przypuszczeniem, iż żona jego mogłaby w tym czasie przyjmować upominki od obcego mężczyzny, ubliża jej i składa dowód, jak źle ją ocenia, jak mało ją zna.

Co prawda, sądząc po sobie i po tych kobietach, z którymi najczęściej w życiu obcował, nie widziałby był w tem nic nadzwyczajnego, ani niemożliwego.

Alboż tak się nie dzieje?

Ach, życie przecież jest komedją, świat teatrem, wszyscy ludzie aktorami, a kobiety — o, kobiety to urodzone aktorki!... przywykł powtarzać te banalne porównania tak często.

Dlaczegożby Wicunia nie miała być aktorką?...

To mu się jednak jakoś samemu nieprawdopodobnem wydawało.

Ona aktorką?! ależ ona ani udawać, ani kłamać, ani zwodzić nie potrafiłaby za nic w świecie, sama prostota, sama szczerość i dobroć.

Przyszło mu do głowy, że doprawdy, drugiej takiej kobiety, to nie znał nigdzie i nigdy po za swoją żoną.

To już, kiedy się coś takiego uda, to jeszcze tylko u nas; tylko taka Wicunia „to na amatora“, mówił sobie, bo przecież takie kobiety dzisiaj, to wyjątki, tak odbijają od reszty, jak te jakieś staroświeckie mody od dzisiejszych.

I przerzucając się z jednego krańca w drugi, zaczął sam przed sobą analizować, oceniać, wychwalać swoją żonę, wyszukując w niej wszystkie przymioty, które dotychczas pozwalał jej mieć bez zwracania na nie uwagi i wyrażania im swego uznania.

Czem ona nie była teraz w jego oczach!...

Tylko po co ten Krotowicz jakiś przy niej się kręcił?... po co on z nią chodził?... po co kupował palmy w Palmową niedzielę i posyłał niby to pod adresem babki?...

Ten Krotowicz tem więcej mu się nie podobał im więcej upodobania znajdował w Wicuni.

— O, adwokatl!... a zaraz się musiał jakiś adwokat do niej przyplątać!—mrucał, —jak tylko gdzie jakie małżeństwo się poróżni, zaraz przy żonie adwokat się znajdzie. Czemu ja żadnego adwokata nie szukałem do tej pory?... ani mi to na myśl przyszło.

Poszedł umyślnie do cukierni w Saskim Ogrodzie, aby się dowiedzieć czegoś więcej o Krotowiczu; rośła w nim ciekawość z każdą chwilą, więc jednego po drugim ze spotkanych znajomych po kilku obójtynych słowach powitania, nibyto przypadkiem, ot tak sobie, zapytywał:

— Moi drodzy nie znacie też adwokata Krotowicza?... co to za facet?... porządny jaki człowiek?...

W ciągu pół godziny miał najsprzecznijšie o nim relacje.

Według jednych, był to brylant, tegi chłop, sama nieskazitelność, ogromna zdolność, niepospolity prawnik, na drodze do zrobienia kariery, bardzo szanowany i poszukiwany; według drugich fanfaron, blagier, udający wielkiego człowieka, a broniący sprawy choćby za darmo, pierwszemu lepszemu, byle się nazywało, że ma dużą praktykę. Nazywali go reklamiarzem i „niejasną figurą“, której wiele zwłaszcza w depozyt zaufało niebezpiecznie.

Jeszcze inni uśmiechali się na wspomnienie jego nazwiska i twarz im się wyjaśniała.

— Franek Krotowicz?... pyszny chłop!... jak to nie znacie Franka Krotowicza? taki wesoly, dowcipny, szyl!... wszędzie go spotkać można! Cały dzień się włóczy po ulicach i za każdą spódniczką biegnie, jak pański Nero. Ba! gdyby nie to, ten chłop, miałby dziś majątek, a tak jest goły, jak święty turecki, bo choć ma szczęście do spraw, nie pilnuje klientów.

Okazało się w końcu, że jest trzech Krotowiczów i to samych adwokatów i że te sprzeczne opinie pochodziły ztąd, że każdy mówił mu o innym Krotowiczu, którego przypadkowo znał lub miał na myśli.

W tem zamieszaniu jednak doświadczył Walery bardzo oryginalnych i zmiennych uczuć.

Gdy mu chwalono Krotowicza, kręcił się niezadowolony, bo instynktownie obawiał się konkurencji z takim człowiekiem, który go moralnie mógł przeważać; kiedy go zaś ganiono, kręcił się także i niepokoił jeszcze bardziej, bo ucuwał jakby wyraźną zazdrość i niebezpieczeństwo wobec rywala, nie wybierającego w środkach.

Zły czy dobry Krotowicz humor mu psuł jednakowoż dnia tego i kazał mu myśleć nieustannie o Wicuni.

Jedno go pocieszało, że mu figla wypłatał i razem z jego palmą posłał swoje fijołki.

To mu się szczególnie podobało.

Odkąd mógł własną żonę uważać za kobietę prawie obcą, którą mógł zdobywać, odbijać drugiemu, romansować z nią niejako, odtąd nabierała ona dla niego „pieprzu“ a stosunek z nią jakiegoś wyjątkowego interesu.

Pod tym względem stawał się podobnym trochę do owych śmiesznych mężów z komedii, którzy dla obojętnego widza przedstawiają typ mniej lub więcej zabawny,—ale względem własnych żon, związanych z nimi na całe życie, które nie miało być farsą ani krotoczwilą, tacy panowie nabierają niekiedy znaczenia jakiegoś tragikomicznego fatum.

Gdyby ich można było traktować tak, jak na to zasługują, może by najwłaściwiej, najpraktyczniej, najmniej ryzykownie było nie brać ich nigdy na seryo, nie przykładając do ich słów poważniejszej miary, do ich uczynków większej wagi i mieć dla nich z góry tę pobłażliwą względność, jaką się miewa w ogóle dla „figur komicznych“, którym trzeba zawsze połowę, jeżeli nie wszystko, wybaczać.

Gdyby to wszystko biedna Wicunia mogła być Duchem Świętym odgadnąć, przewidzieć, zrozumieć, możeby była połowę tylko doznała rozczarowania i oszczędziła sobie połowę cierpień.

Ale ona tak seryo, tak seryo brała to całe swoje małżeństwo, i swoją miłość, i swoje obowiązki, a na równi z nimi i swego Walerka, i jego artyzm, i jego talent, i jego wyższość!...

— Ale droga pani—chciało się jej powiedzieć,—niech się pani wydaje, że przyszłaś do teatru na dramat, a trafiłaś na zmianę widowiska i dają ci lekką komedję. Cóż robić!... trzeba się pogodzić z losem, bo tu pieniędzy za bilety niezwracają i kontramarki nie wydają. Trzeba już tak do końca wysiedzieć.

— A kiedy mi się chce płakać na tej śmiesznej sztuce!—odpowiedziałyby zapewne—bo to przecież parodia tego, co miało być na scenie, to zozydzenie najpiękniejszych moich myśli, celów, dążeń, tematów!

— No tak droga pani, to przykre, niezawodnie—mówiłoby się jej dalej ze współczuciem, ale i niezadadną rezygnacją praktycznych ludzi, pogodzonych z losem—to bardzo przykre, nawet bolesne, ale któż temu winien, że się pani taki wypadek wydarzył. W tym teatrze, co wieczór niemal takie *qui pro quo* się trafiają. Zawsze tutaj ktoś coś innego się spodziewał zobaczyć, a na co innego musi patrzeć. Czasem mu nawet po każdym akcie sztukę zmie-

niają i biedak do końca nie może się połapać. Tak, tak małżeństwo to... bardzo smutna farsa... gdy się nie uda.

Na szczęście, czy na nieszczęście, nie miała niko- go, któryby z nią takie rozmowy prowadził, i uczył ją trzeźwo, spokojnie, ale i z pewną pesymistyczną rezygnacją wysnuwać z faktów jeszcze wnioski praktyczne.

Miała tylko siebie znowu i Boga, któremu się już nie skarżyła więcej, tylko polecała wraz ze swojami dziećmi i oddawała w opiekę całą i jak suplikantka, mająca sprawę w wyższej instancji, czekała rozstrzygnięcia.

Wyrok nie nadchodził, ale za to przyszedł ów tajemniczy bukiet fijołków razem z palmą Krotowicza, co do którego gubiono się jakiś czas w domysłach, przypuszczano rozmaite nieporozumienia, aż na końcu wyjaśniono, że go najwyraźniej ten jakiś pan, który razem z panem mecenasem był w sklepie, do pani Lidzkiej odesłał kazał.

Z opisu tego pana okazało się dalej, że to nikt inny nie mógł być taki, tylko Walery, co znowu zrobiło w całym domu takie wrażenie, jakgdyby się wilkołak zjawił, albo grom z jasnego nieba uderzył, albo coś tak nieprawdopodobnego się stało, że nikt temu uwierzyć nie chciał.

I znowu kobiety na różne głosy powtarzać zaczęły, zaprzeczając pierwotnym pewnikom:

— Nie, to nie on!... gdzieżby on?... zkadże by znów tak nagle!... Ale, ale!... On by się nigdy nie ośmielił!...

Wicunia tym drobnym wypadkiem przejęta była głęboko, jakkolwiek nie okazywała tego i nie umiała sobie go wytłumaczyć.

— Jeżeli to on, — mówiła w końcu, — to mógł być już inne kwiatki wybrać, nie fijołki, od których przecież wszystko złe się między nami zaczęło.

Maryanna przyszła do dzieci w odwiedzin i przyniosła wiadomość, że pan ciągiem teraz wieczorami w domu przesiaduje, papierosy émi jeden po drugim i w kółko chodzi po wszystkich pokojach sam jeden, że aż przykro słuchać tego, bo ino te buty mu skrzypią a skrzypią przy każdym kroku.

Opowiadała dalej, że się pan bardzo zmienił teraz, że brodę zapuszcza, że się o dzieci wypytuje coraz częściej, że się u starszej pani stołować przestał znowu i że mu w domu gotuje, ale to tylko szkoda zachodu, bo albo to pan zje, jak dawniej?... Podłubie, podłubie, podeprze się nad talerzem, zamysli, westchnie i wstaje potem od stołu, jakby mu nic nie smakowało.

Wicunia udawała, że niby słucha tego obojętnie, ale z takich najdrobniejszych szczegółów układała sobie obraz tego słomanego wdowieństwa męża i jego samotności.

— A mówił, że mu świat zawiązała! — myślała, — że mu karierę zepsułam, że go krępowałam. Ma przecież teraz swoją wolność, czemuż z niej nie korzysta?...

Nadszedł Wielki Piątek.

Babunia Lidzka ze Stasią od południa kwestowały w kościele, a pan Ignacy asystował paniom, zajmując się przybraniem stolika, sprowadzeniem dywanu, srebrnych kandelabrow i tacy, oraz mnóstwa obrazków świętych do rozdawania.

Pierwszy położył dyskretnie dukata z Matką Boską na dobry początek i cieszył się, że ma szczęśliwą rękę, bo taca wypełniała się powoli datkami i rosła jałmużną od miedziaków do zielonych, niebieskich i czerwonych nawet banknotów.

Babcia Lidzka miała szerokie koło znajomych z dawnych lat, którzy raz do roku podczas wielkanonowej kwesty przychodzili odwiedzać staruszkę w kościele i składać jej dowód pamięci i życzliwości.

Krotowicz ze swej strony starał się ściągnąć jak najwięcej znajomych, którzy znowu niby dla jego siostry, asystującej paniom, przychodzili z ofiarą, ale przy sposobności ciekawie oglądali Stasię i znacząco a przyjaźnie uśmiechali się przy tem do młodego adwokata, jakby doń mówili:

— Wiesz, ładna!... wcale ładna!... Nie dziwimy się, że ci się podobała. Szczęść Boże!...

W godzinach popołudniowych kościół zaczął się coraz więcej zapełniać; około piątej z trudnością można się było przecisnąć przez główną nawę.

Na chórze powstał ruch, zbierano się widocznie do wykonywania śpiewów nabożnych; ustawiano

pulpity, rozdawano panom i paniom nuty, zapalano świece, chociaż zmrok nie wielki zalegał świątynię.

— Będzie „Stabat Mater“—przyszedł panie kwestujące objaśnić młody ksiądz, kapelan ochronki, na którą zbierały składki babcia Lidzka z wnuczką co roku.

— Któż urządzi?—spytała obojętnie staruszka.

— A podobno pan Grosiecki; właśnie zebrał komplet ze samych uczni i uczennic swoich... Komitet go uprosił, w ostatniej chwili prawie...

Babcia Lidzkiej twarz się przeciągnęła, spojrziała na Stasię, Stasia na nią, ale pokrzyły swoje wrażenie miną pozornie spokojną, jednak nieprzyjemne to im było, że się znalazły przypadkowo w tak nieoczekiwanej sytuacji, kwestując właśnie na dole, gdy na górze Walery śpiewy urządził.

— Dobrze, że choć Wicunia została w domu,—szepnęła Stasia do babki,—toby ją było za bardzo obeszło.

Obie od tej chwili zatopiły się w swoich książkach do modlenia i unikały spojrzenia poza siebie, w stronę chóru zwłaszcza, jakby się obawiały samego widoku Walerego.

Serca im biły, jak sygnaturki, zmieszane były obie i źle się czuły na swoich miejscach, jakby siedziały na cenzurowanem.

I byłoby może w końcu wszystko wróciło do właściwej miary, gdyby przypadek nie zgotował im większej jeszcze kollyzi.

Nagle z tłumu wyrzały dwie główki dziecięce Munia i Kazia; błyszczące ich oczki świeciły się, jak elektryczne lampki, zarumienione buziaki uśmiechały się tym wyzywającym, radosnym uśmiechem, co go tylko aniołki i dzieciaki mają na ustach, a dwa dyszkantki cienkie na cały głos wołały:

— Babciu!.. ciociu!.. ojezulek przyjechał!.. widziałyśmy ojezulka!.. Babciu, o!.. ojezulek jest tam, na chórze!.. Słyszysz ciocia!

Służąca, która je przytrzymywała na ławce, zakłopotana, próbowała uciszyć obu rozradowanych malewó, ale one w przekonaniu, że zrobiły nadzwyczajne odkrycie, słuchać nie chciały żadnych uwag i napomnień, tylko coraz głośniej, zapominając, gdzie się znajdują i kto ich do koła słucha, ewierkały jak wróbelki:

— Babciu!.. ciociu!.. o, ojezulek! — widzi babcia? Ja pierwszy poznałem ojezulka!..

— I ja pierwszy! — darł się Munio, nie chcąc być gorszym od starszego braciszka.

— Nieprawda, bo ja!..

— A ja też.

— A ty nie!

— A ja też.

— A kiedy bo nie!

Przychodziło do zwady z tego powodu pomiędzy dziećmi — każde chciało mieć pierwszeństwo w tym względzie, służąca ich godziła, zatykała im usta marynarską czapeczką, chłopaki jednak nie dawały się uciszyć,

Widokiem ojca były podniecone, uszczęśliwione, rozradowane, ciągle się wspinały na palcach, aby go lepiej zobaczyć na górze, podnosiły do niego ręczęta, rzucały mu pocałunki od ust i wołały:

— Ojezulku!.. ojezulku!.. my tu.

Nie można ich było uspokoić, ani wyperswadować tego, że w kościele nie wolno głośno mówić, że ojezulkowi teraz nie powinny przeszkadzać, bo ma zajęcie, że powinny się zachowywać przyzwoicie i grzecznie, pozłazić z ławki i nie zwracać na siebie uwagi.

One nie słuchały, nie rozumiały tego, jedną myśla, jednym uczuciem, jednym wzruszeniem do głębi przejęte.

Zobaczyły ojezulka po tak długim niewidzeniu, zobaczyły go po raz pierwszy w takich warunkach niespodzianych i dostać się do niego nie mogły, poskoczyć, uwiesić mu się na szyi, ścisnąć, całować i rozpytywać o owe duże ryby, co to robią: hap!.. jak im to mamusia opowiadała.

A tu im kazali cicho być, kazali czekać i nie pozwalali nacieszyć się przynajmniej widokiem tego ojezulka, który raz w raz stawał przy pulpicy z dyrektorską pałeczką w ręku, przejęty widocznie swoją ważną rolą aranżera śpiewów kościelnych, o których jutro będą pisać recenzje po wszystkich dziennikach, wymieniać jego nazwisko i krytykować; zależało mu na tem, uważał to niejako za swój występ publiczny, za rodzaj koncertu i miał ambię

drygenta, muzyka i nauczyciela, aby się owo „Stabat Mater“ powiodło.

— Cóż to za niesfora publiczność! — mówił to-nem oburzenia do solistów, stojących najbliżej jego pulpitu, — uciszyć się nie mogą nawet w kościele.

Wzruszał ramionami i robił minę zgorzowaną i obrażoną na ten tłum w dole, szumiący, jak górski potok po kamiennej posadzce kościoła.

Nie pozwalano mu zacząć, nie skupiano uwagi a to przecież profanacja sztuki w takich warunkach śpiewać i to solistom, i to uczniom profesora Grosieckiego!

— Słyszcie państwo, jak się tam jakieś bębny na dole dra!... — zwracał się do swojej drużyny, nie poznawszy głosu swoich własnych dzieci, — że też to takich malców nie wyprowadzą z kościoła.

Przezucie nie mu nie mówiło w tej chwili, a gdyby się był uważniej wsłuchał w owe dwa ćwierkające głosiki, które do niego wołały i o nim tak głośno rozmawiały, opowiadając wszystkim o swoim ojezuku najukochańszym, kto wie, czy nie byłby na chwilę zapomniał o „Stabat Mater“ i o jutrzejszej reklamie, i nie wypadł sam z taktu i nastroju...

Śpiewy się rozpoczęły nareszcie, ale z akompaniamentem dziecięcego płaczu na dole, bo w tej samej chwili wyprowadzano gwałtem Munia i Kazia z ławki i transportowano z kościoła do domu, aby nie przeszkadzały i przestały się napierać do ojezulka.

Stasia ze służącą i przy pomocy Krotowicza, zastydzona, wzburzona całą tą sceną, aby nie zwracać więcej uwagi, wyczerpawszy wszystkie środki łagodne, zdobyła się na energię i siostrzeńców obu zabrała przemocą prawie z kościoła, wpakowała do dorożki i zawiozła do domu, do matki.

Rozżalone dzieciaki, zalewając się łzami, pobiegły odrazu matce skarżyć się, że je ciocia pokrzywdziła, bo widziały ojezulka, ojezulek powrócił, był w kościele na chórze, musiał ich także widzieć, a ciocia... ciocia kazała im być cicho, nie pozwoliła im pójść się z ojezulkim przywitać, wyprowadziła z kościoła... ciocia nie jest dobra, przestały kochać ciocię... nikogo już więcej nie kochają, tylko ojezulka i mamusię, a ciocia Stasi nie a nie!...

Szlochając i przerywając sobie łkaniem, opowiadały matce bezładnie swoje wrażenia a łzy im po buzi spływały i rozpryskiwały się na ziemi, na bluzkach marynarskich, na kolanach matki, których czepiając się żałośnie, prosiły:

— Mamusiu, mamusienko... niech się mamusia ubierze!... niech mamunia z nami pójdzie, my mamusię zaprowadzimy do ojezulka!... Moja mamusiu, ojezulek jeszcze jest w kościele!... Ojezulek przyjechał, — bo mamusia może nie wierzy?... a ja mamusi powiadam, że przyjechał. Ja go zaraz pierwszy poznałem!

— I ja pierwszy! — powtarzał Munio, zapłakany, z buzią wydetą w podkówkę, z minką strapioną, nieszczęśliwą, z oczkami pełnymi, dużych, grubych, przejrzystych łez.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Słótko o ubiegłym sezonie Towarzystwa Muzycznego; jego pomyślny rozwój. — Spodziewany koncert Michałowski-go. — Koncert Aleksandra Zarzyckiego. — Panna Frenkiel Niwińska. — Zur-Mühlen tenorzysta. — Nowa „Lutnia“. — Horbowski, Gregorowicz, Meleer. — Nowa fantazyja Paderewskiego. — Inne nowości muzyczne.

Sezon był świetny, za świetny nawet, tyle w nim błyszczało artystycznych gwiazd, tyle w nim nagromadziło się dobroczynnych rautów i koncertów wyczerpujących aż do zbytku nerwy i... kieszenie słuchaczy. Najwięcej znakomitości artystycznych przesunęło się w Towarzystwie Muzycznym, które też, dzięki temu, robiło wyborne interesa i ucieszyło się przy końcu roku sprawozdawczego dawno nie widzianą przewyżką dochodu nad wydatkami.

W historii tej instytucji, która wkrótce terminu ćwierćwiekowego jubileuszu dobiega, bywały lata tłuste i chude, ale bytowi jej na seryo nie nigdy nie zagrażała; dziś zaś tem bardziej z ufnością patrzeć można w przyszłość. Budżet wprawdzie tej instytucji — jak i wielu innych u nas — nie jest wielki, jednakże wystarczający na jej potrzeby i ubolewać jedynie, a zarazem dziwić się przychodzi, że jej długotrwałe i pożyteczne dla ogółu istnienie nie wywołało dotąd tak prostego rezultatu, jak wybudowanie w Warszawie domu z przyzwoitą salą koncertową. Że taka sala i dom mogłyby się opłacić kapitaliście, któryby o nich pomyślał, to już od lat było cyframi dowodzone, i możnaby z zaufaniem puścić się na tę spekulację, nawet bez Towarzystwa Muzycznego, a cóż dopiero mając zeń pewnego lokatora, który dziś trzema tysiącami rubli oplaca lokal niedogodny i posiadający salę nieakustyczną i za małą.

Przy warunkach, zwłaszcza przystępnych, na jakich odbywają się wieczory Towarzystwa (członkowie korzystają z nich bezpłatnie, publiczność za rubla lub pół rubla), panuje zawsze w salach Redutowych ścisła i gorąca nie do opisania, ilekroć wieczór posiada dla publiczności przynęty pięknego programu. Tak było i na ostatnim wieczorze, gdzie miał występować Michałowski, a niedysponowanego zastąpił w ostatniej chwili Barcewicz. Publiczność oczywiście zachwycała się wspaniałą grą naszego skrzypka, niemniej jednak dla wielu było to ciężkim zawodem, że znakomity a tak rzadko teraz dający się słyszeć mistrz fortepianu nie mógł się stawić do apelu. Mogą się ci wielbiciele i wielbicielki pana Aleksandra pocieszyć wiadomością, że wkrótce po świętach Wielkanocnych, urzędując on nareszcie na swoje imię koncert, po raz pierwszy od czasu kilkunastoletniego swego w Warszawie pobytu. Niezwykła ta uroczystość muzyczna zapewne ściągnie znów niebawem tłumy i dozwoli w całej pełni się rozkoszować grą, tyle bogatą w skarby techniki i stylu.

W ubiegłym sezonie dwukrotnie mieliśmy sposobność słyszeć Michałowskiego, raz na trzecim wieczorze kameralnym Instytutu Muzycznego, gdzie wykonał wraz z Barcewiczem nową Suitę Schütta, i drugi zaś raz na koncercie prof. Horbowskiego, gdzie odegrał „Nokturn“ i „Scherzo“ Chopin'a.

Z pośród wielu nowych nabytków, jakimi wzbogaconą została w ostatniej dobie literatura muzyczna, „Suita“ Schütta zajmuje wcale niepoślednie miejsce. Jest to utwór, rzec można, klasycznosalonowy, gdyż trzymany w stylu bardziej lekkim, bez pathosu, a jednak obrobiony starannie i oryginalnie. Pomysły są świeże, harmonie samodzielne i dobrze brzmiące, ludowa budowa prawidłowa i interesująca.

W znakomitej interpretacji tej „Suity“ przez dwu najlepszych naszych wykonawców, uwydatniły się wybornie jej zalety, zwłaszcza wdzięczne Scherzo, omal, że nie było bissowane, tyle w niem życia jaśniało i dowcipu, ale bissowanie, tyle u nas popularne, jakoś nie zgadza się z powagą wieczorów kameralnych, i o ile pamiętamy, prawie nigdy miejsca nie miało.

Do wyjątkowo interesujących zaliczyć trzeba koncert, który urządził Aleksander Zarzycki na dochód schronienia nauczycielek. Zarzycki wyrobił sobie stanowisko oddawna, jako wirtuoz obdarzony piękną techniką, większe jednak i szlachetniejsze tryumfy święcił na polu kompozycji, gdzie zwłaszcza w dziele pieśni stworzył znaczną liczbę utworów, wyróżniających się uczuciem szczerem, głębokim, oraz dobrą fakturą i nie banalną pomysłowością. W rzeczonym koncercie, danym po dość długiej przerwie, spowodowanej stanem zdrowia artysty, tenże przypomniał się publiczności w podwójnym charakterze wirtuoza i kompozytora, zyskując i tym razem poważne uznanie. Nowa suita orkiestrowa op. 37, była pod wieloma względami interesującą. Co do oryginalności, tej bezsprzecznie najwięcej posiada część trzecia: Intermezzo, pełna sielankowego wdzięku i zajmująco instrumentowana. Motywy taneżne trzech części (1, 2, 4) mianowicie: „à la Polonaise — à la Mazurka, à la Cracovienne,“ nie wydały nam się zbyt nowe, w ostatniej zaś części, nawet nie dość charakterystyczne. Nikt im jednak nie odmówi wdzięku i pięknego orkiestrowego opracowania, które czyni ze Suity dzieło po-

ważne i godne parokrotnego słyszenia. Powiemy nawet więcej, że dotychczas mało znając utworów Zarzyckiego z użyciem orkiestry, mogliśmy być zdziwieni dobrą brzmiennością (może tylko cokolwiek przeładowaną) tego zbiorowego czynnika. Znać tu rękę porządnego majstra, zarazem obdarzonego smakiem estetycznym. Jako solista, wykonał Zarzycki przestarzały już dziś, ale wymagający świetnej brawury koncert Henselta. W dziele tem Tl al-berg, Hummel, nawet Chopin, odzywają się pokrewnymi im pomysłami — charakterystyką zaś właściwą specjalnie Henseltowi, jest rozłożystość pasażów, wymagająca wielkiej męskiej ręki. Szeregiem interesujących dzieł solowych, oraz świetnym własnym Polonezem z orkiestrą zakończył artysta wieczór. Kilka jego ślicznych pieśni odśpiewała z wielkim powodzeniem panna Frenkiel-Niwińska. Wyborna ta artystka, (siostra rodzona artysty dramatycznego), jest stałym członkiem opery petersburskiej, w czasie zaś kilkotygodniowego pobytu w Warszawie dała się słyszeć kilkakrotnie, przeważnie na dobroczynne cele, zbierając za każdym razem pełne zapału oklaski za śpiew piękny, i inteligentny, oraz głos niezwykle miły i znakomitą melodyę.

Panna Fr. jest uczennicą szkoły Paschalis-Souestrów, którzy w czasie kilkoletniego swego we Lwowie pobytu wykształcili Helerównę, Camilową i Frenklównę, obecnie zaś przeniosłszy się do Dreżna, wysyłają w świat coraz nowe uczennice, mianowicie w tym roku Dąbrowską, śpiewającą (jeśli się nie myli) w Mannheimie, oraz pannę Maryę Koźłowską, której świetne debiuty we Lwowie, gorąco cieszyły się uznaniem zarówno prasy, jak publiczności.

Dobry śpiew jest — co nawet dziwne — prawdziwą rzadkością, i dla tego z tem większą przyjemnością mogliśmy słuchać w Towarzystwie Muzycznym słynnego estradowego śpiewaka niemieckiego, tenorzystę Zur-Mühlen'a, który usprawiedliwił zupełnie swoją sławę, interpretując z inteligencją, zyciem i pełnem wdziękiem użyciem środków wokalnych cały cykl pieśni, śpiewanych aż w czterech językach: niemieckim, włoskim, angielskim i francuskim. Szczególniej nas zadziwiła francuzczyzna, nie tylko dobrze wymawiana, ale pełna tej finezyi, która zdaje się być wyłączenia typową charakterystyką francuzkiej narodowości. Tak to muzykalne ucho i talent odebrać potrafią różne typy artystyczne, i uchwycić w nich szczęśliwie to, co ich odrębność stanowi. Widzimy to z pociechą od lat kilkunastu, jak nasze utwory, zwłaszcza mazury, jak utwory Chopina coraz lepiej odtwarzane są przez cudzoziemców. Widzieliśmy też, z jakim zajęciem p. Zur-Mühlen przysłuchiwał się oberkom i krakowiakom, śpiewanym przez naszą nową „Lutnię,“ utworzoną przez Zygmunta Noskowskiego. Istotnie grono młodzieży inteligentnej, obdarzonej świeżymi głosami, muzykalnym poczuciem i dobrą wolą, utworzyło chór męzki, który dwukrotnym swym występem w Tow. Muzycznym, zyskać już sobie potrafił sympatyczne uznanie. Śpiewając od razu *a capella*, t. j. bez żadnego akompaniamentu, trzyma się ten chór w intonacji tak dzielnie, że ani razu nie spadł, co jest prawdziwą osobliwością w tak młodym zbiorowym cielem. Następnie rytmika i wymowa, również nie pozostawiają nie do życzenia. Powitać więc można nowy ten komplet z radością i życzyć mu jak najszybszego rozwoju.

Wspomnieć jeszcze wypada o dwóch koncertach profesora Horbowskiego, który oprócz współdziałania tak znakomitych sił artystycznych, jak pani Bonaplata-Bau, Barcewicz, Michałowski i t. d., przypomniał publiczności, że Horbowski nie tylko wybornie uczyć, ale i ładnie śpiewać umie — oraz skrzypka Gregorowicza, który lubo w pustej sali teatralnej grał ślicznie i pozostawił tym razem nie dające się zapomnieć wrażenie. Gra to spokojna, pełna odcieni łagodnych, pokonywająca technikę z tą pełną uroku wyższością, jak u Sarasate'go, ale nie pozbawiona ciepłych świetlanych promieni, i ztąd bardzo, bardzo interesująca.

Pan Meleer, fortepianista, uczeń Leszetyckiego przedtem (Strobla) oprócz na własnym koncercie, grał na wieczorze kameralnym, oraz w Towarzystwie muzycznym, wykazując piękną technikę, szczery zapał i szlachetne artystyczne aspiracje, objawiające się w starannie dobranym i wielce zajmującym repertuarze.

Wiemy już o tryumfalnym pochodzie przez Europę nowej „fantazyi“ Paderewskiego. Jak dotąd, interpretował ją wyłącznie sam autor; obecnie mogą się nią popisywać i inni wirtuozi, wysła bowiem z druku nakładem firmy Bote i Bok w Berlinie. Piękne to dzieło, pełne fantazyi i humoru i jakkolwiek trudne niesłychanie, jednak wdzięcznie się przedstawia dla fortepianisty. Bije zeń świeżość, jakaś jędrność, którąbym porównał tylko ze wspaniałymi widokami natury tatrzańskiej, której wpływ wyraźnie czujesz w tematach części czwartej. O instrumentacji oczywiście sądzić nie możemy, zapewne jednak znaleźlibyśmy ją tak dyskretnie piękną, jak w jego koncercie op. 17. Oprócz fantazyi, wydał Paderewski nową, bardzo ładną Legendę.

Ponieważ wpadliśmy na tor nowości muzycznych, wspomnijmy przeto o nowych ślicznych piosnkach Niewiadomskiego: „Swaty,“ oraz o wybornej szkole fortepianowej profesora konserwatorium, Aleksandra Rózyckiego, której układ wysoce praktyczny wróżyć może bardzo szerokie powodzenie i rozpowszechnienie.

Konkurs *Echa Muzycznego* na pieśń jednogłosową, został rozstrzygnięty: z liczby przeszło dwięćdziesięciu nadesłanych utworów, przyznano pierwszą nagrodę panu Michałowi Biernackiemu, dyrektorowi Towarzystwa Muzycznego w Stanisławowie za pieśń p. t. „Tęskny,“ drugą nagrodę otrzymał pan Piotr Maszyński za: „Pieśń wiosenną“ dwie zaś zaszczytne wzmianki otrzymali: pani Leokadja z Myszyńskich Wojciechowska za „Fujarkę,“ oraz pan Bohdan Berkowski za walczyka: „Drapieżna ptaszyna“. Nie zapomnijmy nareszcie w dziale nowości, o bardzo wdzięcznym i miłym zbiorze „Skarbczyk melodi“ znanych i sympatycznych, ułożonych wybornie na cytrę przez znanego autora i nauczyciela gry na tym instrumencie, pana Bolesława Kowalskiego.

Jan Kleczyński.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 1-go Kwietnia.

Po hucznie obchodzonym pół-poście, nastąpiło zwiedzanie pracowni malarzy i rzeźbiarzy, powódz koncertów, odczyty, premjery, zabawy, które u nas z postem nie ustają i przyjęcia w pałacu Elizejskim, na które zbiera się świat urzędniczy, artystyczny, i przemysłowy—obchodząc się jak zwykle bez utytułowanych gości.

Pogodę mamy prześliczną, sucho i prawie już ciepło, to też tłumy spacerowiczów dążą na wycieczki po za miasto, kawiarnie roją się wielką liczbą gości, a bulwary tłumem eleganckich paryżanek.

Świat interesujący się sztuką, z niecierpliwością oczekuje na ucztę w pałacach „de l'industrie“ i „Champ des Mars,“ mając jej przedsmak w pracowniach artystów, gdzie utartym zwyczajem dalsi i bliżsi znajomi, przychodzą oglądać ukończone dzieła mistrzów, przed ich ostatecznym wysłaniem na wystawę.

Tymczasem w przedsiönku teatrzyku Bodinière wystawiono udatne szkice Guirand'a de Scevola, i oryginały do afiszy malowane przez Pala, który wraz z Cheret'em znakomitym malarzem także w tym rodzaju cieszy się tutaj wielką sympatją publiczności.

Wspominając o koncertach, przedewszystkiem powiedzieć muszę o impresjonistycznej kompozycji młodego muzyka Charpentiera, wykonanej na koncercie Colonne'y w Châtelet, gdzie np. za akompaniament do solowego śpiewu służy kaszel, chrząkanie i kichanie. Te naturalistyczne fantazyje, wywołały rzecz prosta wrażenia śmieszne, a nawet komiczne, pomimo znakomitego orkiestralnego wykonania.

Paderewski na koncertach w cyrku Letnim odegraniem polskiej fantazyi święcił znów jeden tryumf więcej, wprowadziwszy w zachwyt i niebawem uniesienie licznie zgromadzoną publiczność. Oklaskom

i wywoływaniom nie było końca. Fantazyą odegraną z akompaniamentem orkiestry, a osnutą na czyisto ludowych motywach, przyjęła krytyka nader pochlebnie. Artysta da jeszcze trzy koncerty w Sali Erarda w drugiej połowie Kwietnia.

Dalej młody i utalentowany skrzypek Franciszek Godebski, syn znanego rzeźbiarza, wystąpił z koncertem kameralnym, który powiódł się znakomicie.

W sali Erarda koncertowała z powodzeniem cenniona pianistka i kompozytorka panna Helena Krzyżanowska, która oprócz własnych kompozycji, wykonała z wielką finezyą utwory Chopina, Mozarta, Bacha, i Hendla.

W tejże samej sali grała także polska panna Zuzanna Egtmin, ze współdziałaniem młodego skrzypka I. Borucherit'a i wiolonczelisty Carcanadego. Żywym temperamentem i znakomitą techniką, zachwyciła panna Egtmin, bardzo licznie zebraną publiczność i zdobyła przychylne uznanie krytyków.

Teraz znów także u Erarda ma dać kilka koncertów Raulek Koczalski. Jeden z nich odbył się już kilka dni temu, a drugi dziś ma miejsce. Mały wirtuoz zdobył od pierwszego wejrzenia serca, a po wykonaniu kilku utworów wzbudził prawdziwy entuzjizm u słuchaczy, grą pełną indywidualnego uczucia. To też wszyscy bez wyjątku złożyli się na burzę oklasków, które małe z wesołością i swobodą dziecinną przyjmował. Słowem tryumf kompletny tak miłego dziecka, jak i znakomitego o duszy artystycznej muzyka.

Koncert Z. Stojowskiego ze współdziałaniem Władysława Górskiego udał się także znakomicie.

Oto jest mniej więcej wymienienie koncertantów, którzy was bliżej obchodzić mogą, a którzy oprócz wielu innych wykonawców złożyli się na powódz muzyki, której nie dawno jeszcze było niezbyt wiele w Paryżu.

Teatrali dały również kilka nowości „Comedie Parisienne,“ zmieniwszy dyrektora wystawiła „pannę Ewę“ Gyp'a, której zaraz po pierwszym przedstawieniu, można było wróżyć powodzenie. Oprócz tego „Mały lord“ sztuka przerobiona z angielskiego, i pantomina z muzyką p. t. Solomé specjalnie skomponowana przez Armanda Silvestre'a, dla tancerki Loie Fuller, ściągają do tego teatru tłumy publiczności. P. G. Zapolska występowała w „Oeuvre“ w jednoaktówce Maeterlincka p. L'Interrieur“ i bardzo się podobała, grając z prostotą ale i z wykonaniem swoją rolę. W tymże teatrze dano również doskonałą humoreskę Tristana Bernarda „Les pieds nickeles.“

Teatr Cluny wystawił wesołą komedię w trzech aktach, Leona Gaudillot p. L. „W lwiej klatce,“ ciesząc się powodzeniem.

W Ambigu Comigue, wystawiono z wielką starannością dramat Leona Henique'a p. L. *Deux Patries* osnuty na tle tyle dziś wyzyskiwanej epopei napoleońskiej, dramat ten odznacza się prawdziwie artystycznymi zaletami które mu jednoznacznie krytyka przyznała.

W Komedi Francuzkiej wznowiono „Przyjaciela kobiet“ 5-cie aktową komedię A. Dumas'a syna. Kiedy przed 30-tu laty przyjęto sztukę chłodno, dziś ją uznają za prawdziwie arcydzieło, co nie mało musi przynosić zadowolenia staremu mistrzowi pióra.

W teatrze „Bouffes Parisiennes,“ cieszy się także powodzeniem operetka F. Toulmuche'a p. L. „Le Saint Valentin,“ odznaczająca się pewną sentymentalnością.

Z odczytów bardzo interesującym był odczyt p. Leopolda Lacour'a o ruchu emancypacyjnym kobiet.

Zwrócił też uwagę odczyt znanego estetyka i zbieracza p. Germain-Babsta. „O stylu sztuki dekoracyjnej w XIX w.“ Prelegent oburza się, na powszechne dziś naśladowanie stylów dawnych, z uszczerbkiem dla rozwoju stylu dzisiejszego, który stanowczo powinien się odznaczać odrębnością i być zostosowanym do obecnych wymagań życia domowego czy też publicznego. Naśladownictwo wieków przeszłych zabija pomysłowość rzemieślnika, a takie wiadome fałszerstwo jest nawet śmieszne, kiedy np. kupujący wie o tem że jest oszukiwany; bo przecież jest powszechnie wiadomo, że niektórzy fabrykanci uciekają się nawet do hodowania pewnego gatunku robaczek, które toczą drzewo, nadając

mu tym sposobem pozory starożytności, te i t. p. różne inne figle wiadome są każdemu.

Czysto naukowy odczyt p. Maryi Szelligi zatytułowany „Feministe contre feminin,“ wygłoszony w Bodinière, napisany pięknym językiem, a wypowiedziany z wielkim przejęciem, wywołał prawdziwy zapal słuchaczy, a wielu z zebranych publicystów tak francuskich jak i zagranicznych składało powinszowania prelegentce.

Zabawy i obiady proszone w prezydenturze są na porządku dziennym, bo p. Feliks Faure bierze czynny udział w życiu towarzyskim, czem szybko zdobywa sobie popularność.

To też wielki turniej fechtunkowy ściągnął do pałacu w Elizeum osoby, zajmujące najwyższe stanowiska; w ogóle przyjęcia w prezydenturze jak dotąd się udają.

Ciekawem było spotkanie się Casimir'e Periere'a z Faurem na balu stowarzyszenia studenckiego; gdyż mistrz ceremonii miał z tego powodu nielada kłopot jak wybrnąć z wyjątkowego położenia a wcale w ceremoniale nie przewidzianego.

Spotkanie to jednak odbyło się pomyślnie, bo obaj dostojnicy rozmawiali z sobą długo i rozstali się w najlepszej zgodzie.

Przesyłam jeszcze kilka wiadomości teatralnych. Dawno podnoszona sprawa założenia trzeciego teatru lirycznego, znów się napowrót agituje. Ponieważ Opera nowych dzieł prawie że nie przyjmuje, więc sama Opera komiczna wystarczyć dla nowych sztuk nie może. Zważywszy te powody rada miejska zdecydowała się dać na ten cel 300.000 fr. subwencji rocznej, więc dosyć dawne marzenie, stać się może wkrótce rzeczywistością.

W sprawie znanego komika Coquelina z Komedją Francuzką, 1-sza izba trybunału wydała wyrok odrzucający wygórowane pretensje komedyi, i zaszła, artyście prawo do emerytury i działu pieniędzy, ale zarazem zabroniła mu grywania w teatrach paryzkich. Ponieważ w ten sposób obie strony są nie zadowolnione, zgoda łatwiej nastąpić może, a z nią powrót Coquelina do Komedyi.

Z brukowych wiadomości donoszą, o przykrym wrażeniu jakie sprawił pojedynek p. Chatelier b. adjutanta Freycineta, z Hipolitem Percher współpracownikiem Debatów, zakończony śmiercią tego ostatniego. W skutek tak świeżego wypadku, ma być znów podniesiona w parlamencie kwestya zakazu pojedynków, a jej inicjatorem jest ksiądz Lemire, który proponuje także, utworzenie w każdym ciełe zawodowem sądu honorowego, który by szybko sądził wszelkie sprawy tego rodzaju i ogłaszał swoje wyroki. Projekt ten jak i wiele innych przed nim pozostałych, można z góry przewidzieć że upadnie, gdyż pojedynki we Francji ogólna opinia moją za sobą.

Pani Paulina Savari wystosowała do rady miejskiej petycję, żądając uczczenia pamięci Małgorzaty Porette spalonej publicznie w Paryżu w r. 1305, za napisanie książki uznanej przez inkwizycję za hereetycką.

W maju ma tutaj nastąpić otwarcie wystawy międzynarodowej higienicznej. Prezesem komitetu organizacyjnego obrazu d-ra Brouardela dziekana wydziału lekarskiego, a na członków kilku znanych higienistów.

Odkrycie nowego gazu zwanego argonem, wciąż zajmuje gorąco świat naukowy, świeżo zaś nadeszła wiadomość z Ameryki od p. Lewe zapowiada znów zupełny przewrót w oświetleniu i dziś już entuzjazuje tutejszych chemików.

W „La revue blanche“ p. G. Zapolska napisała artykuł o literaturze polskiej, obrazując ją nader charakterystycznie. Obszerniejszą o tym wzmiankę pozostawiam sobie do przyszłej korespondencji.

C. H.

ZWYCIEŻONY

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNYM AKCIE

przez

TOPORA.

(Dokończenie).

SCENA IV-ta i ostatnia.

CIŻ,—P. WIELORZECKA.

Wielorzecka (*witając się ze wszystkimi*). Jakże mi przykro!... Nie mogłam wrócić wcześniej...

Róża (*tuląc się do matki*). Mateczko, tak długo!... (*ciszey*). Czy lepiej p. Zofii?

Wielorzecka (*całując ją*). Zateśkniałaś pieszczochu. Lepiej... lepiej!...

Henryk *n. s. obserwując Różę*. Jak jej ślicznie z tą tkliwością dziecięcą...

Wielorzecka. Niech-że państwo siadają... Bardzo proszę... (*do Róży ciszej*). Każ podać wino i bakalie Rózo... (*Róża wychodzi*).

Matylda (*omdlewając*). Pani jak widzę, tak jest zajęta, że na nudy czasu nie staje...

Wielorzecka (*z uśmiechem*). Mam go zwykle za małego!... Dziś wszakże niezbyt chętnie wyjeżdżałam z domu... Ból głowy mi dokuczał... Ale Róża niespokojna była o swoje pupilki!

Matylda (*ciekawie*). Jakie pupilki?

Wielorzecka. Smutna to historia! Przed kilkoma dniami Róża wyczytała w „Kuryerze“ o biednej nauczycielce złożonej chorobą i pozbawionej wszelkich środków do życia. Istotnie położenie było rozpaczliwe... Biedaczkę, ubezwładnił paraliż a utrzymywała siebie i troje rodzeństwa z lekcyi...

Irena. Pani mówi zapewne o p. Rozińskiej? Ona dawała lekcyę mojej młodszej siostrze. Przypominam sobie, że mały jej braciszek przychodził z oznajmieniem, że chora i nie będzie mogła nadal udzielać lekcyi. Mama już zamówiła inną.

Wielorzecka (*smutno*). Tak, to ta sama! Stan istotnie zdesperowany. Miesiące, a może lata kuracyi, a tam taka nędza!...

Marya (*do Ireny*). Zapewne byłaś tam, Irenko!

Irena (*zapominając się*). A to po co? Mama odeślą ją do niej się należało... Nie ma kłopotu o nauczycielki.

Henryk (*do Wielorzeckiej*). Czy nie mógł bym przysłać jej szanownej pani? Racz mną rozporządzać...

Wielorzecka. Róża, na razie zrobiła co mogła... Dużo tam jednak potrzeb... (*zaciska dłoń*). Ach, jakież to okropne! Ile nędzy jeszcze na świecie, o której nikt nie wie... Rodzice p. Rozińskiej mieli wioskę. Po ich śmierci, opieka tak ślicznie pokierowała sierocem mieniem, że te biedne dzieci nie prawie nie otrzymały. Rozczulającą jest miłość małych sierotek dla chorej siostry... (*ociera oczy nieznanie*). Darujcie państwo, ale jestem jeszcze pod wrażeniem. Nie dziwię się Maniu, że Róża od kilku dni więcej jest zdenerwowaną.

Marya. Czuwała po nocach przy chorej...

Henryk (*zdumiony*). Panna Róża? (*ns.*) Co ja słyszę?

Marya. Pana to dziwi? Ani to pierwszy i pewno nie ostatni postępki Róży.

Matylda (*do Ireny ns.*). Jaka romantyczna historia, słyszała pani? Jednakże, Wielorzecka znakomicie się konserwuje... Trzeba jej to przyznać!

Irena (*i. w.*). Błagał Ręczę, że siedziała u Lippinka, debatując nad kosmetykami, które by ją od siwizny i od zmarszczek uchroniły. Romantyczna historia, specjalnie na nasz beneficjusz wymyślona. (*Wchodzi Róża, za nią, Anusia wnosi wino i ciasta. Róża rozlewa wino i zaprasza.*)

Róża. Proszę, niech państwo będą łaskawi... (*do matki*). Mateczko, musisz wypić kieliszek wina, konieczne. Takaś pobladła!

(*Podaje matce wino i zbliża się do Henryka stojącego w zamysleniu na przodzie sceny.*)

Prosimy bliżej panie Henryku!

Henryk (*cicho patrząc na nią błagalnie*). Panno Różo!... Czy pani pozwoli..., abym...

Róża (*uśmiechając się słodko*). Co takiego?

Henryk (*cicho z desperacją*). Postępowałem jak szalencie... Miłość czyniła mnie trwożliwym... i—

Róża (*uśmiechając się ironicznie*). Skoro się pan przekonałeś jednak, że Irena odpowiada pańskiemu ideałowi...

Henryk (*gorąco*). Aż nadto jestem za tę pomyłkę ukarany! Panno Różo, nie dziw mi się pani... Niegdyś przed laty... dawno, o, bardzo dawno... Ale cóż to panią obchodzić może...

Róża. Słucham ciekawie.

Henryk. Miałem wówczas lat dwadzieścia, serce łaknęło wrażeń, które rwało się do uczucia co tyle cierpię i rozkoszy daje. Byłem kochany! Przyjajmniej, zdawało mi się, że tak jest...

Irena (*podchodząc*). O czym państwo rozmawiacie?

Henryk (*zirygowany*). O kwiatach bez woni...

Marya (*bierze Irenę pod rękę*). Irenko, mam cię o coś zapytać...

(*Odhodzą w głąb, Wielorzecka rozmawia z Matyldą.*)

Róża (*drżącym nieco głosem*). Cóż dalej p. Henryku?

Henryk (*smutnie*). Stara historia, która się wiecznie powtarza jakby powiedział Hejne. Wdzięczny lecz nietrwały kwiatek, zwinął wąż listeczki... zmienił się... brakło mu wytrwania... uległ namowom i—odżył wkrótce w słonecznym promieniach innego... uczucia (*z boleścią*). Straciłem wiarę w czystość i trwałość kobiecych serc... młody umysł struto goryczą, zwątpieniem... (*patrzy błagalnie w oczy Róży*). Życie, było odtąd męką dla mnie... bo studyując z dziwną zaciętością kobiety, przekonywałem się że...

Róża. Mów pan śmiało... Że?...

Henryk. Że to są kwiaty bez woni... jak wyrzekłem przed chwilą...

Róża. Żal mi pana.

Henryk (*z uczuciem*). Pani jednak, mogłabyś nawrócić zgrozrzniałego sceptyka. Panno Różo!

Róża (*zdumiona*). Ja?

Henryk (*patrząc jej w oczy z uwielbieniem*). Oddaj mi pani jednego ze swych pupilów.

Róża (*zdumiona*). O czym pan mówi? Nic nie rozumiem...

Henryk. Bądź pani wspaniałomyślną! Mateczka zdradziła tajemnicę...

Róża (*dumnie*). Więc to dla tego?...

Henryk. Panno Różo! Od tej chwili gotów jestem uwielbiać Alfę, Dorę i całe zastępy cierpiących psów i kotów... (*ciszey*). Czy pani pozwoli pomówić dziś z mateczką? (*wzruszony*). Pragnę posiłać mój skarb jak najprędzej...

Róża (*spuszczając oczy*). Nie wiem!... (*po chwili figlarnie*). Niech pan jednak nie zapomni, że czworonożnych będę zawsze uważać: jako gatunek doskonalszy. Posiadają np. trafny instynkt poznawania ludzi...

Henryk (*śmieje się uszczęśliwiony*). Najdroższa moja...

(*Zasłona spada koniec aktu I-go i ostatniego.*)

Kronika działalności kobiecej.

— W pierwszych dniach przyszłego miesiąca odbędzie się w Petersburgu, w departamencie handlu, narada w sprawie uregulowania handlu lnu; w naradach wezmą udział producenci lnu z różnych okolic państwa, między którymi mieścić się będą kobiety.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż istnieje zamiar powierzania posad naczelników stacyi kolejowych osobom nietylko posiadającym wymagane kwalifikacye, lecz i obeznanym dokładnie z manipulacyą handlową a mianowicie z taksowaniem towarów. Ze przeciw wyroby pracy kobiecej potrzebują biegłych, odpowiednio z przedmiotem tu obznajmionych, przyzwane tu będą i kobiety.

— P. Aniela Wielowiejska zwróciła się do naszego pisma z propozycyą zawiązania spółki pracy

kobiecej w gospodarstwie wiejskiem, z celem zorganizowania tej pracy na zbyt. Na zebraniach spółki naradzano by się, jakie gałęzie tej pracy mogły być najkorzystniejsze w danych warunkach rozmaitych okolic i jak je prowadzić należy, aby korzyść nie była pozorną, to jest aby dochód ze zbytu przedmiotów wyprodukowanych nie równoważył rozchodu, zabierając w ten sposób czas gospodyni, który mógłby być zużytkowany inaczej. Obok tego spółka wydawałaby broszury, powiadamiające o rozwoju gospodarstwa kobiecego w krajach rozmaitych z uwzględnieniem tak potrzeb miejscowych, jak i posiadanego tu materiału wytwórczego. Razem rzecz biorąc Towarzystwo mogłoby się stać instytucyą wielce pożyteczną. Składki stowarzyszonych chociażby najskromniejsze, słyby na zakup dzieł zagranicznych, traktujących o tych przedmiotach gospodarstwa kobiecego, które u nas mogły by się rozwijać pomyślnie.

— Ubyła społeczeństwu naszemu jedna ze szlachetnych tych kobiet, której tak działalność, jak i przykład dobry był pożytecznym dla ogółu: Zofia Wesłowa, jedna z pierwszych uczestniczek kolonii letnich dla ubogich i słabowitych dzieci. Pani ta otaczała osobistą swą opieką dziewczynki przyjmowane w posiadłości swej Żyrzynie, nietylko zajmując się osobiście całem gospodarstwem kolonii, czuwając z dobrocią i troskliwością iście macierzyńską nad ich zdrowiem i wygodą, przyzywając też zaraz za ich przybyciem lekarza dla otrzymania tu potrzebnych informacyi jak jej z niemi postępować należy. Przejęta tą myślą niepowierzchownie, podjęła w 1892 r. myśl zaopatrzenia kolonii w łózka żelazne, co łączyło się ze względami zdrowia dzieci i złożwszy na ten cel znaczną ofiarę pieniężną, tak oddziaływała przykładem swoim, że obecnie kolonie posiadają 500 łózek takich. Jak była dobrą, jak umiała w skutek tego przywiązywać do siebie dzieci, które otaczała opieką swoją, dowodzi wieniec złożony na jej trumnie z napisem: „Dziewczynki kolonii letniej w Żyrzynie ukochanej pani swojej.“ Obecnie podniesioną została myśl złożenia summy pewnej, oznaczonej jej nazwiskiem, od której procent dałby możność wysyłania co rok jednej z najuboższych dziewczynek na kolonię letnią.

— Uczestniczki komitetu kolonii letnich zebrały się w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca w lokalu lecznicy I-ej, zapisały 206 dzieci jako kwalifikujące się do wysłania na kolonie, a to 88 chłopców i 118 dziewcząt. Dotąd zapisano 2,225 dzieci.

— Komitet pań należących do Towarzystwa opieki nad zwierzętami zapowiedział seryę pogadek dla dzieci z celem budzenia litości serc młodych nad temi niemymi istotami, które prosić o łaskę nie mogą. „Przeгляд tygodniowy“ zwrócił przeciw na to uwagę, czy pogadanki takie cel swój osiągną? Matki powinny tu działać—matki powinny budzić w sercach młodych uczucia tkliwe, inaczej wszystkie nauki wysłuchane jak lekcyja mało pomogą. Jestto prawdą niewątpliwą, że matka przeważnie działać tu może i powinna, a dodać trzeba, że przykład jej znaczy tu bardzo wiele—znaczy on niemal wszystko pod względem wychowawczym w ogóle.

— Opiekunkami przytulku sierot dziewcząt, mieszczącego się przy placu S-go Aleksandra, zostały panie: Jadwiga Makowiecka, Gabryela Józefa Gąsowska, Kazimiera Gąsowska, Wanda Karpińska, Marya Jankowska, Józefa Cassius, Aniela Schiele, M. Zborowska. Opiekunkami przytulku sierot dziewcząt przy ulicy Hożej zostały pp.: Teofila Zielińska i Elżbieta Jantzen.

— Krakowskie stowarzyszenie nauczycielek wybrało na zgrómadzeniu walnem prezesową swoją p. Wandę Żeleńską, wiceprezesową została p. Joanna Pogonowska.

— W Wiedniu powstały przed dziesięciu laty związek literatek i sztuce poświęcających się kobiet, obchodził dziesięciolecie swego istnienia. Prezydentką związku jest Minna Hoegel.

— Zmarła w Szwajcaryi, w Bazylei, Elżbieta Falkner wdowa bezdzietna, zapisała ostatnią swą wolą 144,000 franków na cele dobroczynne. Ponieważ rodzina była zamożną, ograniczyła się dla niej na upominkach, resztę zaś mienia swego przeznaczyła na wzniesienie przytulku dla kobiet z klass

inteligentnych a ubogich i rodziny nie posiadających.

— W Brukselli zdały egzamin na stopień doktora medycyny ze szczególnem odznaczeniem trzy studentki uniwersytetu tamtejszego, z pochodzenia indyanki. Na podstawie otrzymanych dyplomów otrzymały w ojczyźnie nadzór nad lecznicami dzieci i haremami szpitalami dla kobiet, z pensją roczną 12,000 franków.

— W Berlinie odbyło się doroczne zgromadzenie związku gospodyń. Na długich stołach wystawiono okazy pracy uczennie rozmaitego rodzaju. Lina Morgenstern jako przewodnicząca oceniała je i przyznawała pochwały, oraz nagrody; w przemowie wygłoszonej do uczennic zaznaczyła, że największą, jaką otrzymać tu mogą nagrodą, dostanie im się w przyszłości, gdy jako gospodynie domu i naczelniczki rodziny wywiążą się dobrze z wielkiego, ze szczęściem i spokojem rodzin związanego obowiązku: umiejętnego pokierowania tej pracy gospodarczej, która jest podstawą dobrobytu rodziny, obok względu na pracę męża, który tu musi być dostarczycielem środków utrzymania.

— Trzy angielskie panie: lady Hamilton, hr. Lucan i hr. Lindsey, stanęły na czele komitetu pań urzędowania wystawy w domu wyprzedzonego włókna i utkanego płótna. Zasada, którą się tu rządziła te panie jest, że domowa kobiety praca nietylko wpływa bardzo na dorobek rodzin, lecz zarazem nie dopuszcza odśrodkowego wydzierania się jej po za dom, w obec czego nie może ona być dobrą żoną, ani dobrą matką.

— Winifryga Dickson lekarka z dyplomem doktora medycyny, irlandka z rodu, wygłosiła odczyt, w którym obok przepisów wychowania dzieci higienicznie, aby wyrosły na ludzi zdrowych i silnych, więc przykładających się do pracy i dobrobytu rodziny, jest tu zasada jedna jeszcze pieczołowitości macierzyńskiej. Z tych istot, dziś małych, staną się z czasem obywatele, którym trzeba być silnymi i zdrowymi, aby mogli stać na straży tego co jest obowiązkiem człowieka podierać i od upadku bronić.

— M-rs Claveland małżonka prezydenta Stanów Zjednoczonych została członkiem kobiecej ligi angielskiej Chrześcijańskiego towarzystwa wstrzeżliwości, a to z celem aby zaprowadziło je w Ameryce. Przybyła ona do Anglii z zamiarem zbadania zasad ligi i środków jej działania.

— Chika Sakurati, japońska pani, przybyła do Europy z celem zbadania metod i organizacji wykształcenia kobiet europejskich. Została już chrześcijanką i założyła pierwszą w kraju swoim szkołę wychowania dziewcząt według kierunków moralności chrześcijańskiej, obecnie wzniosła z tym samym celem szkołę w mieście Osaka.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż rozpoczęły się prace przebijania tunelu w górach Kaukazkich, którądy przeprowadzoną będzie linia kolei, łącząca Kaukaz z Rosją europejską pomiędzy Tyfsem a Władykaukazem. Maszyny wiertnicze i hydrauliczne, zostały sprowadzone z zagranicy i już się znajdują na miejscu przeznaczenia.

— Ministerjum rolnictwa rozesało po wsiach wszystkich stron państwa instrukcyje co do walki z szarańczą.

— Według wiadomości z Moskwy, oddział tamtejszego Towarzystwa technicznego urządza we wsi Mytyszcze wzorową stację straży ogniowej. Przy stacji tej staną budynki typowe ze wszelkimi zabezpieczeniami od ognia przedmiotów, służących do walki z pożarem.

— Warszawskie biuro informacyjne o nędzy wyjątkowej obchodziło dwudziestopięciolecie swego założenia. Myśl wzniesienia go wyszła od p. Cypryana Lachnickiego, kuratora warszawskiej szkoły rysunkowej i posiadacza bardzo bogatego zbioru dzieł sztuki. Celem biura jest wyszukiwanie nędzy prawdziwej i wspomaganie jej, broniąc z jednej strony, aby fałszywe ubóstwo nie wyzyskiwało dobrej woli ludzi miłosiernych, a z drugiej kierując ich względy tam, gdzie prawdziwa miłość bliźniego powinna, przyjść z pomocą. Biuro mieści się w instytucie S-go Wincentego a Paulo i poświęca się na jego usługi, wyszukując prawdziwie biednych i pomocy potrzebujących ludzi, rozdając wsparcia, a w razie choroby, przyzywając lekarza. Co czwartek zbiera się sesya biura; na sesji tej każda z Sióstr Miłosierdzia przedstawia listę osób, wsparcia potrzebujących, wraz z zebrałymi o każdej z nich wiadomościami. Po wysłuchaniu tych sprawozdań, tworzy się lista pietnastu, najbardziej pomocy potrzebujących biedaków i rozsyła po redakcyach pism. Biuro w ciągu swego istnienia udzieliło wsparcia 338,262 rs., rozdzielonych między 51,379 rodzin i osób pojedynczych. Suma wsparć rośnie z roku na rok i gdy w 1870 zaczęto od 3,637 rs., w 1894 r. doszła do 25,500 rs. Dodać należy, iż organizacya biura jest bardzo prosta: trzy, lub cztery osoby zajęte są roznoszeniem wsparć terminowych i prowadzeniem rachunków, cztery panie współpracowniczki towarzyszą Siostrom Miłosierdzia, wraz z sześciu szarytkami. W roku ubiegłym koszta administracyi przedstawiały 41 rs. Lokal biura, jako mieszczący się w instytucie S-go Kazimierza, jest bezpłatnym; nie obciąża instytucji utrzymania Sióstr Miłosierdzia, bo koszt utrzymania jednej siostry przedstawia 10 rs. miesięcznie i ogółem idzie na ten wydatek 720 rs. rocznie, a koszt ten pokrywa się z innych źródeł dochodów prywatnych. Instytucya też to jest prawdziwie dobroczynna, prawdziwie chrześcijańska. W ciągu miesiąca Marca Biuro otrzymało z ofiar 3.204 rs. i wsparło w tym czasie 689 rodzin ubogich.

— Nowa kaplica wzniesie się po prawej stronie od wejścia do kościoła poreformatorskiego przy ulicy Senatorskiej. Świątynia ta poświęconą była w 1635 roku. Nowa kaplica stanie pod wezwaniem Przenajświętszej Rodziny.

— Do ziemian rozesałny został przez sekcją rolną kwestyonaryusz, mający stać się podstawą materiału do utworzenia „przewodnika po gospodarstwach rolnych.“ Stało się to wskutek wniosku p. Maksymiljana Dobrskiego z Chmielnika. Kwestyonaryusz zawiera dziewiętnaście pytań, dotyczących nazwy miejscowości, gospodarza, położenia włości dalej zaprowadzonych ulepszeń produkcji nasion roślin kłosowych, groszkowych i pastewnych, hodowli nasion przemysłowych, aptekarskich, hodowli i produkcji wszelkiego rodzaju inwentarza: koni, bydła rogatego, owiec, trzody chlewnej, drobiu, hodowli ryb na szerszą skalę, zakładów przemysłowych, ogrodów, sadów, łąk i sposobu ich utrzymania, plantacyi wierzby koszykowej, gospodarstwa leśnego. Kwestyonaryusz stawia obok tego pytanie, czy jest w dobrach pole doświadczalne i w jakich rozmiarach, czy znajdują się tu praktykanci i czy właściciele dóbr pozwalają je zwiedzać? Gazeta dodaje, że ze względu użytku ogólnego kwestyonaryusz nie zostanie zapewne bez odpowiedzi.

— W ciągu kilku ostatnich miesięcy zwiększyło się wychodźstwo ludu wiejskiego do kolonii angiel-

skich w Afryce Południowej. Rolę pośrednika, jak się okazało, wzięł na siebie właściciel powiatu szawelskiego, który emigrował z kraju przed kilku laty a powodziło mu się tak dobrze na obczyźnie, że w okolicach Johansburga założył dom zajezdny i pośrednictwo wynajmu robotników. Listy jego pełne obietnic i przedstawiające życie w Afryce bardzo ponętnie wabiły ludzi, a nawet przesyłał on niejednokrotnie karty wolnej jazdy od Liverpoolu do Kapstadtu i utrzymuje się przekonanie, że zwałbił w ten sposób kilkadziesiąt osób, a w tej liczbie i dziewcząt kilka, o których losie nikt nie wie, pomimo tego, że partya główna wychodźców już wyjechała w początkach września zeszłego roku. O emigracyi do Ameryki nie słychać wcale, że przecież, jak pisze do „Kraju“ korespondent z Poniewieża, spodziewać się można z rozpoczynającą się z wiosną zwiększenia ruchu emigracyjnego w skutek tego, że drobni dzierżawcy są już niemal zrujnowani.

— W dniu 8 b. m. inżynier Jarocki odbył próbę publiczną z przyrzędem własnego pomysłu, zastępującym drabinę na wypadek pożaru. Użyto do tej próby słupa telefonicznego, na który z pomocą przyrządu złożonego z liny, zaopatrzonej w gałki drewniane oraz strzemion, chwytających automatycznie stopnie, specjaliści i wezwani z tłumy ludzi robotnicy wehodzili i zehodzili. W tych dniach odbędzie się próba druga w obec władzy miejskiej i przedstawicieli straży ogniowej.

— Towarzystwo Warszawskie ratowania tonących odbyło zebranie doroczne. Odczytane sprawozdanie zarządu i kommissyi rewizyjnej wykazyły iż majątek Towarzystwa powiększył w ciągu roku o 685 rs., ponieważ z summy 3.197 r., jaką posiadano, doszedł do 3.882 rs. Sprawozdanie przedstawiało wzruszające fakta. W czasie zimy bieżącego roku przebywający w okolicy Ostrołęki na ferie uczeń szkoły realnej, Edmund Szeer zachciał użyć ślizgawki na łyżwach i nie bacząc na przestrogi udzielone mu przez miejscowego młynarza, Siedleckiego, wpada pod lód. Siedlecki ciska się wtedy za nim, ale obaj niktą wkrótce pod lodem, lecz Siedlecki nie traci przytomności, chwytając Szeera zębami, gdy rękami musi trzymać się tafli pochwyconego kawałka lodu i po nadludzkich wysileniach wydosłaje się na wierzch. Szeer już był bez zmysłów, Siedlecki usiłuje go przywrócić do przytomności, lecz sam też nieprzytomny pada. Lecz na szczęście pomoc nadeszła z pobliskiej chaty, dając obu ratunek.

— Warszawskie Towarzystwo muzyczne odbyło posiedzenie doroczne. Towarzystwo liczy 700 członków, na posiedzeniu zebrało się przeciwzaledwie 39, na przewodniczącego obradom wybrano Aleksandra Czajewicza, a po odczytaniu sprawozdania rachunkowego, które wykazało 1.151 rs. przewyżki nad wydatkami, zaznaczono działalność Towarzystwa, którego dowodem jest wzniesienie pomnika Szopenowi w Żelazowej Woli, nadanie jego imienia nowej ulicy w mieście naszym, utworzenia stypendyum jego imienia, oraz utworzenie dwóch nowych sekcji muzyki kościelnej i sekcji Moniuszki. Zatwierdzono następnie budżet.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się powieść **Za cudzą winę**, przez autorkę powieści „Silny duch“. Przekład z niemieckiego arkuś 12 i 13.

TREŚĆ: Chrystus, przez Kazimierza Glińskiego (wiersz). — Pogawędka, przez ?? — Bluszczyk, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawalewicza (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego — Nowiny paryżkie, przez A. Ch. — Zwycięzcy, obrazek sceniczny w jednym akcie, przez Topora (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Za cudzą winę, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“, przekład z niemieckiego ark. 12 i 13. — Przegląd mód. 21 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.